



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Andrzej Bartkowski

Wspomnienia poznaniaka

Byłem dumny z mojego starego. Właśnie teraz – po klęsce. Jeszcze raz rozłożyłem przedwojenną, polską gazetę, wygładziłem ją delikatnie w zgięciach i przeczytałem – nie wiadomo po raz który – krzyżący tytuł: „My musimy walczyć i zwyciężać. Ginąć mają nasi wrogowie”. Tak, to były jego słowa. Ech, wspomnienia, wspomnienia! Tak niedawno, a tak nierealne. Ile w sierpniu 1939 roku było w nas zapалу, zadziorności, pewności siebie. Wojna przycupnęła za graniczną miedzą, my zaś z sarmacką fanfaronadą krzyżeliśmy wrogom, że „guzika nie damy”, że „jesteśmy silni, zvarci i gotowi”, że „wiernie cię będziemy strzec”. Tokowaliśmy, jak głuźce w okresie godowym – zasłuchani w siebie, ślepi na zewnątrz.

Ile w tym czasie było zebrań, manifestacji, pochodów. Fundowano sztandary, wbijano złote gwoździe w drzewce, składano się na karabiny maszynowe, samoloty, kopano rowy przeciwlotnicze, robiono próbne alarmy, no i gadano, gadano, gadano. Stały ruch, gaworzenie – uspakajało, wytwarzało poczucie bezpieczeństwa, że „coś” się robi. Zdawało nam się, że lawina słów przerazi Hitlera, cofnie się i... jakoś będzie. Ale jak? Tego już nikt nie wiedział.

Na jednej takiej manifestacji w Izbie Rzemieślniczej w Poznaniu zabrał głos mój ojciec. Jak obecnie się mówi – „kochał przemawiać”. Był urodzonym demagogiem. Dla niego było ważnym nie to, co mówi ale jak mówi. Robił trafne, zaskakujące uwagi. Wtargnął na trybunę jak huragan. Nie jest to znów tak duża przemożność, gdyż ważył 100 kilogramów. Gdy podchodził do mównicy podłoga sceny ugięła się pod nim, a szklanka umieszczona na karafce zaczęła coraz szybciej, coraz głośniejsze dzwonić – jakby ze strachu. Zagał coś nietypowo. Wciągnął powietrze w płuca z taką siłą, jakby chciał wydmuchać z sali wszystkich obecnych, omiął ich z pogardą spojrzeniem i nic nie powiedział. Trwał w milczeniu. Odczekał efektownie do pierwszych objawów zniecierpliwienia słuchaczy i zagrzmał: „Chcecie walczyć do ostatniej kropli krwi? Twierdzą Wam będzie każdy próg? Aż niedobrze się robi, gdy tak wszyscy, zgodnie na jedno kopyto, jak Polska długa i szeroka deklarują wciąż to samo, że ojczyźnie życie oddadzą w ofierze. Ludzie, źle robicie! Bądźcie rozsądni. Opamiętajcie się!” Sala zareagowała na to pomrukami niezadowolenia. Pomyślano, że przemawia zwolennik ugody z Niemcami. Krzesła zaczęły niebezpiecznie trzeszczeć, a ojciec ciągnął dalej: „Jeśli wszyscy zginą, jeśli wszyscy oddadzą życie ojczyźnie w ofierze, to kto w końcu będzie jej bronił? Czy z góry zakładacie klęskę?” I dodał: „My musimy walczyć i zwyciężać – ginąć muszą nasi wrogowie”.

Właśnie tymi słowami zaopatrzył czołowy artykuł w gazecie dziennikarz obecny na manifestacji. Nie muszę dodawać, że takie buńczuczne twierdzenie poderwało salę. Po zebraniu odbyła się część nieoficjalna i staruszek tego dnia wrócił do domu bardzo późno, no i bardzo chwiejnym krokiem. Następnego dnia z dużą przyjemnością czytałem dziennik cytujący jego wypowiedź.

Przeszło kilka miesięcy. Był dopiero styczeń 1940 roku, a już nie było naszego państwa. To dla nas młodych, urodzonych w niepodległej Polsce, było strasznym szokiem. Polska kojarzyła nam się zawsze z polskim wojskiem, polskimi władzami, polskimi książkami i gazetami, a przede wszystkim z polskimi szkołami. Jeden podmuch historii i wszystko zginęło. Starsi, urodzeni i wychowani w czasie zaborów chociażby dlatego, że doskonale znali język niemiecki, nie byli tak zagubieni jak my. Staliśmy się niemowami we własnym kraju. Niemcy – nawet ci co mówili-po polsku – uznawali tylko swój język. Z ulic, z szyldów usunięto wszystkie stare napisy. Na jezdniach paradowały stale oddziały wojsk niemieckich, niemieckiej policji, hilfspolizei, selbtschutzu, NSKK, NSDAP. Wszyscy uzbrojeni, butni, rozśpiewani, w stałym ruchu, ciągle „hailujący”. Wszystko obliczone na efekt, mające przekonać o sile Niemiec. Miasto upstrzone czerwienią flag hitlerowskich, a my Polacy na ulicach byliśmy już tylko szarym tłem. Nie rozmawialiśmy głośno po polsku, gdyż za to bito po twarzy. Chodziliśmy chyłkiem pod ścianami domów. Kawiarnie opustoszały. Życie nasze przeniosło się do mieszkań. Tam jeszcze zachowała się atmosfera polskość, ale często przerywana nagłymi wizytami nowych władców, po których zawsze ktoś z domowników ubywał. Ci z poznaniaków, którzy we wrześniu 1939 roku nie opuścili miasta, a więc nie zetknęli się bezpośrednio z okrucieństwami wojennymi, z przerażeniem dowiadywali się od wracających z tułaczki o publicznych egzekucjach – w Lesznie, Koninie, Śremie, Kórniku. Egzekucjach przeprowadzanych nie przez policję lub gestapo, ale przez armię niemiecką. To nie mogło się pomieścić w głowach starszym ludziom, którzy kiedyś sami służyli w wojsku cesarza i mieli niemieckie oznaczenia bojowe rozdzielane nadzwyczaj szczerze wśród żołnierzy rozsypującej się armii kajzerowskiej. Poznań takie pokazowe egzekucje ominęły chyba tylko dlatego, że było tu zbyt duże skupisko Polaków.

Mieliśmy za sobą falę aresztowań polskiej inteligencji, no i przede wszystkim powstańców wielkopolskich, których hitlerowcy ze szczególną zaciętością tropili. W tym zakresie niemiecka maszyna działała sprawnie! Mieli dokładne spisy osób podejrzanych wraz z adresami. Otworzyły nam się oczy na rolę volksdeutsche w Polsce przedwrześniowej. Pod wpływem wojennych przeżyć, okrucieństw niemieckich, własnej klęski – zapanowało ogólne przygnębienie. A hitlerowska propaganda działała! Zalewała jadem pogardy wszystko, co polskie. W lokalnym dzienniku „Posener Tageblatt” przemianowanym później na „Ostdeutscher Beobachter” wyszydano naszą armię, rząd, gospodarkę, księży, wielopartyjność, wielonarodowość. Żadna rewelacja! Wiedzieliśmy o tym sarni, jeszcze przed wojną, ale strasznie bolało, że zwycięski wróg z tego się wyśmiewa. Byliśmy – ich zdaniem – narodem niewolników, głupców, którzy ulegli nie tyle przemocy militarnej, co własnej głupocie. Nie dość, że nas pobito, jeszcze się naigrywano. To było najgorsze uwzględniając naszą wybujałą dumę narodową. Byliśmy nie tylko złamanymi, ale wprost złamani. Uwierziliśmy w swoją nicość. Ale nie na długo! Z rozpaczki budzi się energia. A było to tak.

Krótko przed zmasowaną akcją wysiedlania do GG, w listopadzie 1939 roku przyszedł do naszej piekarni, mieszczącej się w ruchliwym punkcie, bo w narożnej kamienicy (ulic Długiej i Półwiejskiej) nasz codzienny okupacyjny klient – komendant dzielnicowego posterunku niemieckiej policji z ul. Długiej 4. Kupował zawsze sam. Krótko, bez zbędnych słów, jakby wstydząc się, że kupuje u Polaka. Oczywiście takiego „gościa” obsługiwaliśmy tak jak pragnął, poza kolejnością (Deutsche haben bevorzug – Niemcy mają pierwszeństwo), grzecznie i przede wszystkim szybko, nie z uniżoności, ale z wyrachowania. Czym krócej u nas będzie, tym mniej zauważy. Otóż ten niemiaszek spostrzegł na ścianie sklepu ogłoszenie pisane na maszynie w języku polskim i niemieckim, że p. Rojewska udziela lekcji języka niemieckiego. Podszedł czujnie węsząc niebezpieczeństwo dla Wielkiej Rzeszy, lecz po przeczytaniu uśmiechnął się sarkastycznie i powiedział do ojca: „Zupełnie zbędne! Ręczę panu, że za rok nie będzie tu ani jednej osoby nie mówiącej po niemiecku, wywieziemy obcojęzycznych wygodnie, szybko, bez bagażu i to już”. Zawahał się i z pewnym wewnętrznym oporem dodał – „Niech pan lepiej wraz z rodziną przygotuje się na podróż niezbyt komfortową, a nie propaguje nauki języka niemieckiego. Jesteście jak bąbel na wodzie”. Zasalutował i wyszedł. To nam wystarczyło. Zrozumieliśmy, że musimy działać, że jeśli chcemy coś uratować i przeżyć wojnę nie możemy beczynnymie siedzieć. W ojca wstąpił nowy duch. „Psiakrew! – zaklął. – Przez 123 lata ani Wielki Fryc, ani Bismarck, ani Hakata nie wyrugowali nas, a teraz jakiś niedouczony malarz, wypierdek mamuta chce nas wykończyć?” „Gówniarze! Pogubicie portki uciekając do Vaterlandu” – warczał przez zęby, wygrażając pięścią. Spojrzał na nas z ogniem w oku i dodał z energią – „Dzisiaj wieczorem narada wojenna”. I odbyła się narada wojenna. Pamiętam ją jak dziś.

Mieliśmy mieszkanie pięciopokojowe przy ul. Strzeleckiej 3 na drugim piętrze – blisko placu Świętokrzyskiego tj. obecnie placu Wiosny Ludów. Tam – po zamknięciu sklepu i po godzinie policyjnej – siedzieliśmy w długie okupacyjne wieczory. Polakom nie było wolno w tym czasie wychodzić na ulicę. Siedzieliśmy razem w pokoju od podwórza. Węgla nie starczało na ogrzanie pozostałych pomieszczeń. Były to smutne, wręcz tragiczne wieczory. Właśnie po godzinie policyjnej zaczynało rugować Polaków z mieszkań, dlatego wieczorami, zamiast rozbierać się do łóżek, ubieraliśmy się w ciepłą odzież, wciągając na siebie po dwa komplety bielizny, swetry, pod ręką umieszczaliśmy płaszcze, czapki, rękawiczki, małe tobołki z niezbędnymi rzeczami. Zaczynała się gra nerwów. Ja szedłem do pokoju frontowego, gasiłem światło, uchylałem zasłonę na oknie i obserwowałem. Przyjadą wywozić Polaków czy też nie? Jeśli

przyjadą, to gdzie zamkną ulicę? Do jakiej kamienicy pójdą? Kogo wywożą? Ile razy nam wszystkim serce podchodziło pod gardło, kiedy na schodach zadudniły podkute buciory nadludzi. Liczyliśmy odruchowo ich kroki. Idą wyżej! Jeszcze wyżej! Jezus Maryja! Są na drugim piętrze! Przy naszych drzwiach przeszli! Co za ulga. Ale niepokój budzi się na nowo. A może się cofną? Może się pomylił? Może o nas im chodzi?

Przekonaliśmy się, że jeśli do godz. 23 budy nie zajadą, możemy spokojnie spać do rana. Dlatego dopiero po północy rozbieraliśmy się i szliśmy spać. Tak było dotychczas. Dziś w domu był inny nastrój. Ojciec dla kurażu wychylił jeden głębszy. Ostrożnie przysunął butelczynę do siebie, troskliwie upewniając się co do zawartości i zaczął mówić: „Słuchajcie, chyba nasz policmajster zerwał nam dziś bielmo z oczu. Jesteśmy przeznaczeni do przeflancowania. Musimy się bronić. Nie liczymy na Anglików i Francuzów, że przejdą przez cały Deutschland i nas wyzwolą. Gdy oni nadejdą nas już nie będzie. Musztarda po obiedzie. My musimy sami się bronić. Oczywiście nie orężem, lecz sprytem, przebiegłością i doświadczeniem. Tak – doświadczeniem. I jeśli sześć pokoleń Polaków walczyło skutecznie z zaborcami to – huknął się pięścią w pierś – konspirację mamy we krwi”. „Každy Polak to urodzony konspirator” – dodał z przechwałką. „Mama i ja całą młodość przeżyliśmy pod Prusakami. Ja kilkanaście lat przed pierwszą wojną światową pracowałem w Berlinie. Tam zdałem egzamin mistrzowski w języku niemieckim z wynikiem bardzo dobrym. Mówię – zresztą tak jak i mama – tak samo swobodnie po niemiecku jak i po polsku. Doskonale znamy mentalność niemiecką. Tak jak my jesteśmy konspiratorami – tak Niemcy są urodzonymi żołdakami. Księżewka niemieckie zawsze uchodziły za wylegarnie landknechtów dla całej Europy. Z wojaczki zrobili zawód, a Hitler całkowicie ich ogłupił. Uwielbiają paradenschritt i befehl, to zwalnia od myślenia. Bez rozkazów tracą swą krwiożerczość – stają się zagubieni. Musimy to wykorzystać. My ich wykiwamy! Naszym głównym zadaniem to zostać tutaj, w Poznaniu! Nie dać się wyrugować!” „Ponieważ hitlerowcy są bardzo systematyczni – ciągnął dalej – i Polaków usuwają z przedsięwzięcia w ciągu dnia, a nocą wywożą z mieszkań – my odwrócimy ten schemat. Nocą mieszkania muszą być puste, a piekarnia w ciągu dnia przedstawiać obraz nędzy i rozpacz, żeby żaden niemiaszek nie skusił się na jej objęcie.”

Mówił jeszcze długo z coraz większym żarem, a jego plany – w miarę opróżniania butelki – były coraz agresywniejsze. Zdrzemnałem się przy stole, a gdy oprzytomniałem, to słyszałem jak ojciec zachłystywał się wizją glorii oręża polskiego, jak wkraczał na czele aliantów do Berlina, którzy mianowali go prezydentem tego miasta, a Hitler, Goebbels i Göring – na jego polecenie – byli obwożeni po całej Europie w klatce dla dzikich zwierząt.

Następnego dnia przystąpiliśmy do dzieła zniszczenia. Z piekarni usunęliśmy wszystkie maszyny za wyjątkiem prasy do bułek i potężnej ugniataarki do ciasta. Była za duża, jednak z napędowego koła zębatego odpiłowaliśmy kilka ząbków, część ramienia mieszarki utraciliśmy. Z pieca odłupaliśmy białe kafelki, została tylko szara cegła. Zbiornik do wody, wmontowany w piec, po wypuszczeniu wody pękł. Od tej chwili chcąc wytworzyć w piecu parę kubkiem laliśmy wodę do komory (szczyt partactwa, jak mówili Niemcy – polnischewirtschaft). Wszystkie żarówki zostały wymienione na słabsze, panował więc wszędzie nieprzyjemny półmrok. Już mniej obawialiśmy się treuhänderów. Zapas mąki i węgla został zredukowany do minimum. Starczał zawsze tylko na dwa dni. Tylko wybitnie tępy Niemiec mógłby zląknąć się na tak nędzną polską schedę. W sklepie okno wystawowe nie było wcale dekorowane. Ziało pustką. Pieczywo nie było wykładane na zewnątrz kontuaru i półkach, lecz znajdowało się pod spodem lady. Niemiec na pierwszy rzut oka nie mógł się zorientować co to za sklep. Polacy – a byli oni w 80% naszymi klientami – wnet zorientowali się w naszej intencji i robili tylko konspiracyjno-zachęcające miny. W mieszkaniu zastosowaliśmy inne środki ostrożności. Błogosławiliśmy los, że nasze mieszkanie było przy innej ulicy niż warsztat. Jeśli stracimy jedno to pozostanie drugie. Zakład rzemieślniczy bez przyległego mieszkania był dla Niemców dziwolągami, tracił na wartości, studził ich zachłanność. Na zapytania niemieckich przesiedleńców – gdzie jest mieszkanie? – kłamaliśmy bez zająknięcia, że mieszkaliśmy przed wojną przy ul. Zwierzynieckiej (Tiergartenstrasse), ale dom we wrześniu 1939 roku został zbombardowany i obecnie cała nasza rodzina, cztery osoby, gnieździ się w pokoiku sublokatorskim. Mieli dość tego bałaganu, biedy i polskiej głupoty. Szybko rezygnowali i pędzili dalej, oglądać inne piekarnie, zasobniejsze. A my w ten sposób uratowaliśmy i mieszkanie i warsztat. Na razie.

Do końca listopada 1939 roku z naszej kamienicy przy ul. Strzeleckiej 3 b wysiedlono nocami już prawie wszystkie polskie rodziny: Trojanowskich, Wardeńskich, Poleskich. Widzieliśmy jak to przebiegało. Zauważyliśmy pewne luki w postępowaniu Niemców. Hitlerowcy zawsze szli tylko frontowymi schodami, a przecież od strony podwórza każde mieszkanie miało drugą klatkę schodową dla służby. Nigdy nie blokowali tej drugiej klatki – w ogóle ich nie interesowała. Po wyrzuceniu Polaków pieczętowali drzwi frontowe, nie zabezpieczali natomiast drzwi kuchennych, jak również piwnic i strychów przynależnych do mieszkań. Frajerzy! W to nam graj!

Niemiecy lokatorzy wcale nie korzystali z kuchennych schodów. Co wieczór na palcach schodziłem nimi na parter, zamykałem drzwi na klucz, wyjmowałem go, a w zamek wkładałem inny – ułamany, którego nie można było przekreślić. Rano schodziłem bezszelestnie i obcęgami go wyciągałem. W naszej

komórce na strychu – wtedy posiadał taką każdy lokator – Kryśka wymościła za skrzyniami niewidoczne miejsce dla czterech osób. Przenieśliśmy tam toboły z odzieżą i bielizną. Zastawy były w skrzyniach. Gdyby Niemcy przyszli w nocy i łomotali do drzwi frontowych, wystarczyło, nie zapalając światła, szybko i cicho uciec schodami kuchennymi na strych, przeczekać aż przemocą otworzą drzwi frontowe, stwierdzą, że nikogo nie ma, opieczętują i odejdą. Nad ranem należało się wysunąć na podwórze i tam przez furtkę w murze przejść na tyły posesji przy ul. Wrocławskiej, gdzie mieściły się zakłady drukarskie i stempli Bolesława Kapeli. To była nasza droga do wolności!

Plan był dobry, ale nie uwzględniał jednego – wieku rodziców. Nie można było od nich wymagać szybkości i zwinności skautów. Zrobiliśmy kilka prób ewakuacji w ciemnościach. Wypadły fatalnie. Mamie wszystko leciało z rąk – nawet płaszcz nie potrafiła zapiąć. Ojciec ze swoją wagą – przypominam 100 kg – kłusował przez pokoje z wdziękiem słonią, co chyba było słyszalne w promieniu 2 kilometrów. Ani to nie było cicho, ani szybko. Rozpacz!

Musieliśmy zmodyfikować plan. Wieczorami rodzice i Krystyna już ubrani przenosili się do kuchni i tylko ja stałem na czatach w pokoju frontowym. Na mój sygnał wystarczyło uchylić drzwi kuchenne i tylnymi schodami uciec na strych. To już robiliśmy wcale dobrze, ale jak długo można było w takim napięciu żyć? Pierwsza załamała się matka. Cowieczorne ubieranie się, wyczekiwanie na wywiezienie pogorszyło i tak już zły stan jej serca. Zachorowała. „Niewydolność krążenia i silna nerwica – krótko powiedział lekarz. – Matka musi leżeć, mieć spokój, nie denerwować się.” „Ale to nierealne” – krzyknąłem. Nawet się nie obruszył, też był Polakiem i rozumiał bezsens swoich zaleceń. Zapisał jakąś miksturę ziołową (für Polen zugelassen – dla Polaków dozwolona) i szybko wyszedł. Unikałem wzroku matki. Nie chciałem i nie mogłem okazać jej najmniejszej czułości. Wiedziałem, że oboje się rozplączemy. „Leszek – przywołała mnie stłumionym głosem – słyszałeś? Ze mnie już nic nie będzie, to serce. Moja matka, a twoja babka też zmarła na atak serca. Wiesz, ile miała wtedy lat? Trzydzieści dwa. Taka młoda. Było to na przełomie XIX i XX wieku w okresie kulturkampfu” – przerwała jakby przywołując wspomnienia. I z nagłym ożywieniem kończyła – „Powodem jej śmierci był jakiś pijany szwab, który w czasie nieobecności dziadka dobijał się do bramy wyzywając go od polskiej świni. Ryczał i kopał w bramę. Przestraszona wstała z łóżka, doszła do okna i rano znalazłam matkę leżącą przy oknie z urwaną firanką w dłoni. Nie żyła. Zostawiła nas pięcioro małych dzieci. Patrz, cóż za dziwny zbieg okoliczności. Po blisko 40 latach i ja, jej córka, chyba też umrę na serce przez Niemców dobijających się do mojego mieszkanka... Leszek, nie zmuszajcie mnie, abym uciekała nocą z wami. To nie ma sensu. Umrę na schodach i nawet w chwili śmierci wam zaszkodzię wskazując leżącym ciałem kierunek waszej ucieczki. Chcę umrzeć jak moja matka – u siebie.” Otworzyłem usta, aby zaprotestować. Delikatnie położyła mi palec na wargach gestem nakazującym milczenie i użyła argumentu jakiego nigdy nie powinna użyć matka. „Wy macie uciekać beze mnie, jeśli umrę w czasie ucieczki, nie będzie to wina Niemców – lecz twoja, gdyż to jest twój plan!” Byłem wstrząśnięty! Jak to? Chcę najlepiej i mam być przyczyną śmierci matki? W pierwszej chwili nie zorientowałem się w szlachetnej przewrotności. Ona nie chciała swą ślamazarnością utrudniać nam ucieczki. Tego ja – siedemnastoletni młokos – jeszcze nie rozumiałem. Byłem oburzony. Wyszedłem. Moja bezgraniczna miłość do matki ustala.

Po tej tragicznej rozmowie przez kilka dni biłem się z myślami. Co robić? Powiedzieć ojcu czy nie? Niech on rozstrzygnie, przecież nie może zająć innego stanowiska niż ja. Z drugiej natomiast strony – niech naprawdę matce coś się stanie? To ojciec i Kryśka i Rafał siedzący w obozie będą mieć do mnie pretensje. Postanowiłem milczeć, a w krytycznym momencie siłą wciągnąć matkę przy pomocy Krystyny do naszej kryjówki na strychu. Niestety rzeczywistość pokrzyżowała wszystkie moje plany.

W pierwszych dniach grudnia 1939 roku Niemcy ze zdwojoną furią wznowili aresztowania i wywóz Polaków. Była to ich odpowiedź na krążącą wśród ludzi przepowiednię, że na dzień św. Andrzeja Boboli – w pierwszych dniach grudnia Niemcy jakoś cudownie się rozpadną. Wszystkich poznaniaków wiadomość ta, czy też przepowiednia, utwierdziła we wcześniejszym przekonaniu, gdyż zegar na zamku poznańskim zepsuł się pod koniec listopada, a jego wskazówki pokazywały dzień i miesiąc świętego patrona. Inni, przezorniejsi, tak na wszelki wypadek podszeptwali, że gdyby św. Andrzej Bobola nie pomógł, to 27 grudnia w rocznicę powstania wielkopolskiego Polacy urządzią Niemcom straszną jatkę. Zrozumiałe, że im sytuacja nasza była gorsza, to wiadomości pocieszające musiały być coraz więcej fantastyczne. Niemców w Poznaniu wtedy było jeszcze mało. Bali się Polaków. Tu zemściła się na Niemcach „propaganda grozy” dr. Goebbelsa o krwawej niedzieli w Bydgoszczy we wrześniu 1939 roku, kiedy to Polacy mieli wyłupywać Niemcom oczy, odcinać im języki itd. Obawiali się jak każdy złodziej siedzący na cudzej własności. Stąd ten obłęd wywożenia. Dzień w dzień, a właściwie noc w noc, krążyły po ulicach Poznania samochody ciężarowe z policją. Wywożono Polaków do obozu przesiedleńczego na ul. Głównej. A my ludziliśmy się, że nas to ominie. Tyłu już wywieźli, a nas zostawili...

Pewnej nocy buda zatrzymała się przed naszym domem. Wysiedli z niej Niemcy i spokojnie, z godnością, bez pośpiechu poprawili mundury. Jeden z nich wyciągnął listę. Czytał przyświecając sobie lampką elektryczną. Później spojrzeli w górę. Wiedziałem – przyjechali po nas, bo na górze z Polaków zostaliśmy tylko my! Wpadłem do kuchni i krzyknąłem stłumionym głosem: „Przyjechali po nas! Szybko

na górę!” Ojciec bez słowa narzucił płaszcz, wziął torbę i wysunął się na kuchenne schody. Ja w pośpiechu złapałem dwie walizeczki, spojrzałem na matkę i Krystynę przynaglając je wzrokiem i zdrtwiałem – nawet nie drgnęły, obie siedziały nieruchomo trzymając się kurczowo za ręce, przywarły do siebie. Szeptaly pacierz. Były trupio blade. Zrozumiałem, że postanowiły zostać. Matka, aby nam nie utrudnić ucieczki, a Krystyna by jej nie opuścić. Matka wysunęła rękę z uścisku Krystyny, zrobiła znak krzyża w moim kierunku i wyszeptala: „To jest moja ostatnia prośba do ciebie – uciekaj z ojcem. Zaklinam, nie chcę żadnych ofiar przeze mnie, ratujcie się.” Krystyna nagle zerwała się i pchnęła mnie oburącz przez próg. Upadłem na ciemne schody. Wyrzuciła bagaże i zatrzasnęła drzwi. Usłyszałem zgrzyt klucza – do domu nie było już powrotu. Piąłem się po omacku, po wąskich, krętych schodach, aż dotarłem do naszej kryjówki. W ciemności żarzył się papieros ojca. Bez słowa postawiłem bagaż i cofnąłem się, aby zamknąć na klucz obite blachą drzwi od strychu. Gdy wróciłem osunąłem się koło ojca. „Już zamknąłeś? A gdzie kobiety?” – zapytał. „Zostały”. Nic nie odpowiedział. Objąłem go za szyję i szeptalem do ucha: „Zrozum – zostały! Kobiety zostały same – a my jak szczury pouciekaliśmy. Teraz wypędzają je na mróz. Nikt im nie pomoże wdrapać się do budy, może popędzają je ze śmiechem kolbami, a my bezpieczni, w cichej norce, z pełnym kałdunem... Cholera! Idę w dół. Tam moje miejsce. To mój obowiązek.” Chciałem wstać, ale jego palce wbiły się mocno w moje gardło. Nie puszczał. Twarzy nie widziałem, lecz czułem przyspieszony, rozogniony oddech. „Durniu – charczał – nic tam nie pomożesz. Będziemy razem cierpieć, razem zdychać. Wszy, głód, choroby – to nasza przyszłość. Będąc na wolności możemy im pomoc. Przekupimy wachmanów i wydostaniemy je z obozu na Główniej, a jeśli to zawiedzie i wywiozą je do GG to my za nimi wyjedziemy, ale z całym majątkiem. Moja w tym głowa. Mówisz, że tam przy matce twoje miejsce. Nieprawda! Nie ty, lecz ja 25 lat temu przysięgałem, że jej nie opuszczę aż do śmierci. A dziś? Złamałem przysięgę? Zesmaciłem się? Klnę się na rany Chrystusa – nie! Ratując siebie – ratujemy je.” Innego wyjęcia nie było. Przerwał, bo w ciszę nocną wdarł się łoskot zatraskiwanej bramy. To właśnie wyprowadzano matkę i Krystynę. Ten cios był silny. Wszystkiego się spodziewałem, ale nie rozbicia rodziny. Zawsze mi się zdawało, że przez wszelkie nieszczęścia przebrniemy razem, przetrwamy wojnę i będziemy się cieszyć z jej zakończenia. Otaczająca ciemność sprzyjała pracy wyobraźni, która wciąż podsuwała coraz straszniejsze obrazy, galopujące od nieszczęścia do nieszczęścia. Nad tymi koszmarnymi majakami – jak na surrealistycznym obrazie – silnie rysowały się duże, przerażone oczy matki, utkwione we mnie z niemym wyrzutem. Było to nie do zniesienia.

Nie przerywałem ciszy. Ojciec też milczał. Czas dla nas stanął. Żałowałem, że nie mogłem go cofnąć. Zapadłem w jakiś sen, półodrętwienie. Nagle ojciec lekko mnie trącił i powiedział: „Pora się wymknąć. Już dawno po akcji. Jest godzina czwarta. Niemcy w kamienicy zaczną się budzić i jeśli nas zauważą – zadenuncjują. Wychodź pierwszy. Zostaw, wszystkie drzwi otwarte, a przede wszystkim furtkę na posesję Kapeli przy ul. Wrocławskiej – tamtędy wyjdziemy. Ty wyjdiesz do warsztatu przez plac Bernardyński, a ja wyjdę za tobą pół godziny później i dojdę inną drogą przez ulicę Półwiejską. Jak wpadniemy, to nie razem.” Nawet mnie nie uściśnął. W takiej chwili! Był twardy jak zawsze. Sprawdziłem, czy mam przy sobie przepustkę nocną (obaj z ojcem je posiadaliśmy) i ruszyłem. Do warsztatu dotarłem szczęśliwie. Za niecałą godzinę przyszedł ojciec. Prawie równocześnie z nim pojawili się pozostali nasi pracownicy, stryj Franciszek oraz stary Wiktor Majewski – dawny przyjaciel ojca. Nasze wojenne trofea – jak ich z rozpaczą określał ojciec. Pracę u nas traktowali z wyniosłym wstrętem, jako plagę okupacyjną. Przed wojną robotą fizyczną się nie kalali. Hitlerowcy wprowadzając przymus pracy dla wszystkich Polaków od 14 do 60 roku życia zmusili ich do zakasania rękawów. Ojciec też ich z musu przygarnął, bo z przedwojennych pracowników nikt nie został. Już nie wrócili, a po kampanii wrześniowej zagarnął ich Arbeitsamt kierując do niemieckich przedsiębiorstw. Obaj starsi panowie, grubo po pięćdziesiątce, guzdrali się z robotą, ale byli żarliwymi Polakami.

Powiedzieliśmy o wszystkim. Bardzo nam współczuli, ale nie widzieli najmniejszej szansy na wydostanie kobiet z obozu przesiedleńczego. Krakali, że jeśli Niemcom nie chodziło o mieszkanie, lecz o osoby, to i ojca i mnie aresztują tu na ul. Długiej. Ładna pocięcha. Ale i tego nie można było wykluczyć. Ojciec szybko wystawił w języku niemieckim dwa pełnomocnictwa. Jedno na stryja, drugie na Majewskiego, upoważniające do prowadzenia przedsiębiorstwa w czasie nieobecności właściciela i załatwiania w jego imieniu wszelkich spraw. Nie było to wcale naiwne lub głupie. Już dawno zorientowaliśmy się, że Niemcy całą Polenpolitik przeorganizowali. Rozkręcili tak potężną maszynkę, że nie byli jej w stanie zatrzymać lub nawet poszczególnych akcji skoordynować – policja swoje, gestapo swoje, NSDAP swoje. Zdarzały się wypadki spotkania przedstawicieli dwóch ww. instytucji u Polaka z nakazami bądź to wysiedlenia go, bądź przejęcia przedsiębiorstwa, ale też często powstawały odmienne sytuacje – jedna władza niemiecka zamykała, a druga go wyciągała jako osobę „niezbędną” dla gospodarki wojennej. Liczyliśmy, że gdyby nawet nas dopadli i wywieźli – nie ruszając warsztatu – to Majewski lub stryj będą mogli jeszcze przez kilka miesięcy prowadzić piekarnię. A kilka miesięcy w czasie wojny to ho, ho! W naszej wyobraźni oznaczało przetrwanie okupacji.

Nie szła nam w tym dniu robota. Poruszaliśmy się jak muchy w smole. Starsi panowie bardzo pocieszyli ojca. On słuchał tylko jednym uchem, a myślami był przy mamie i Krystynie. Wszyscy zasta-

nawiali się, do którego z Niemców zwrócić się o pomoc w wydostaniu kobiet z obozu. Najlepszy byłby jakiś volksdeutsch – stwierdził Majewski. „Volksdeutsch – prychnął z drwiną stryj. – Przecież oni najwięcej nas nienawidzą i wyznają zasadę, że najlepszy środek przeciwko Polakom to wyciąć ich w pień.” „Genialny plan – szydził stryj. – Może do Greisera się zwrócić? On też volksdeutsch ze Środy. Boże, jacy ci Polacy są głupi! Oj Wiktor, Wiktor! – jakiś ty tępy.” „To ty jesteś głupi – odpalił Majewski. – Prymitywny Niemiec wierzy w zwycięstwo Hitlera, a mądry w jego klęskę. Trzeba się zwrócić do takiego chwiejnego asekuranta, który potrzebuje polskiego wybielacza! Na potem. Pomoże nie z miłości, nie z litości – ale z wyrachowania. A zresztą pal diabli czym się będzie kierował. Niech pomoże i kwita!” Trzeba przyznać, że miał rację. Istotnie tutejsi przedwojenni Niemcy byli nieżyczliwi i bezwzględni dla nieznanym sobie Polaków, ale do znajomych odnosili się chwiejnie i tchórzliwie. Przy wywożeniu, rozmaitych zorganizowanych akcjach eksterminacyjnych postępowali brutalnie, cynicznie. Ale w cztery oczy z polskim dawnym znajomkiem przywdziewali skórę jagnięcia, łasili się, byli grzeczni i zapewniali o swej gorącej sympatii do Polaków. Usprawiedliwiali się, że jeśli są bezwzględni, to tylko z uwagi na rozkaz władz partyjnych – ale w gruncie rzeczy kochają Polaków i zawsze im pomagają. Ładna bajeczka i wygodna dla nich.

Padaly rozmaite nazwiska znajomych Niemców. Ze zdumieniem stwierdziliśmy, że ojciec znał ich dużo. Przed wojną utrzymywał dość ożywione kontakty zawodowe i prywatne z Niemcami. Chętnie i dużo rozmawiał z nimi po niemiecku. Lubił przed nimi pochwalić się swoim berlińskim akcentem. Rodzice prenumerowali berlińskie i wiedeńskie magazyny. Idylla prysła we wrześniu 1939 roku. Sympatia przerodziła się w nienawiść. Zagrała urażona polska duma narodowa. Nie mogli wybaczyć, nie mogli zrozumieć, że „ich” Niemcy nagle – na polecenie jednego człowieka – tak się zmiełili.

Wtem do drzwi od podwórza ktoś zapukał. Naszym sygnałem! Trzy razy, dwa! To musiał być swój. A jeśli swój, to tylko mama albo Krystyna! Jak na komendę wszyscy rzuciliśmy się do drzwi. Tak, to były one! Nie próbuję nawet opisać powitania, bo brakuje słów. Wszyscy mówili równocześnie, wszyscy płakali i śmiali się na przemian. Uściski, uściski, uściski. Podałem szybko herbatę z „kropelką” i kobiety zaczęły beładną opowieść.

Gdyby wśród nas znalazły się osoby nie wtajemniczone w pewne zdarzenia sprzed przeszło miesiąca, nic by nie zrozumiały z chaotycznych na pozór wypowiedzi mamy. Dlatego kilka słów wprowadzenia. Wrócmy do października 1939 roku. Po kampanii wrześniowej, przesunięciu granic, utworzeniu GG, deportacjach i wywłaszczeniach większość Polaków permanentnie przemieszczała się bądź to zmieniając miejsce zamieszkania, bądź to miejsce pracy. Piszę przemieszczała, a nie podróżowała, gdyż podróże zostały Polakom zakazane. Niemcy chcieli nas całkowicie okiełzać, zaszufadkować, ująć w kleszcze ewidencji. Wydali więc jeszcze jedno zarządzenie, unieważniające wszystkie przedwojenne dowody tożsamości i nakazujące ich wymianę na tzw. kenkarty z odciskiem palca. Polak złapany bez takiej karty – groziły obwieszczenia – podlegał karze więzienia, a nawet śmierci. Rejestrację Polaków Niemcy zorganizowali dokładnie i z rozmachem. Poznań podzielili na rejony, wyznaczyli dni i godziny dla poszczególnych bloków. Nasz rejon mieścił się znów w domu rzemieślniczym przy ul. Fr. Ratajczaka, w dużej sali na I piętrze. Ponieważ tylko rodzice mówili dobrze po niemiecku, zadecydowali, że oni pójdą pierwsi i spenetrują teren, a my, tj. siostra i ja poczekamy na ich powrót i już poinstruowani zarejestrujemy się lub nie. Dlaczego taka ostrożność? My młodzi obawialiśmy się wywiezienia do Niemiec na roboty. W Reichu odczuwano brak rąk do pracy i mogli nas natychmiast zatrzymać. Ojciec pomimo swego wieku też obawiał się komplikacji. Przed wojną zameldowany był w Murowanej Goślinie, a w Poznaniu tylko matka i dzieci. W Goślinie mieliśmy willę i dom czynszowy. Ojciec wyżywał się w pracy społecznej. Złapałem się za głowę, kiedy zbierając materiał do tych wspomnień w szpargałach po nim znalazłem zaświadczenie burmistrza Murowanej Gośliny dr. Motylewskiego z 11 marca 1936 roku wymieniające wszystkie jego funkcje społeczne. A piastował ich aż osiem. Zgodnie z niemieckim zarządzeniem kenkartę powinien ojciec uzyskać w Murowanej Goślinie, skoro tam był zameldowany, ale szaleństwem byłoby wpaść w łapy tamtejszych Niemców. We wrześniu zamordowali kilku znanych obywateli, innych aresztowali, pobili lub wywieźli do obozów koncentracyjnych. Powrót tam był równoznaczny ze śmiercią.

Idących rodziców do rejestracji pożegnaliśmy jak straceńców. Wkroczyli oni na salę z ciężkim sercem. Stoły były ustawione w podkowy. Za nimi siedzieli zadowoleni, wyniośli zwycięscy, taksujący z pogardą wchodzących Polaków. Rozejrzeli się bezradnie. Ojciec układał sobie w głowie historyjkę, że dowód przedwojenny zgubił we wrześniu w czasie ucieczki, ale skoro jego żona ma zameldowanie w Poznaniu, no to zrozumiałe, że i jej mąż też był tutaj zameldowany. Tym bardziej, że posiadał już niemieckie zaświadczenie o prowadzeniu piekarni w Poznaniu. Wtem przeraził go okrzyk: „Borkosky! Komm hier!” Spojrzał w tym kierunku. Jakiś Niemiec w mundurze SA w wieku ojca rozkazującym ruchem ręki nakazał mu podejście. Podchodzili wolno. Ojciec nie wiedział skąd go ten zna – z Murowanej Gośliny czy z Poznania. Gruby niemiaszek rechotał z zadowolenia. Płaską dłonią uderzał o blat stołu, ale w jego śmiechu ojciec nie wyczuł nic wrogiego. Oczywiście też były życzliwe. „Człowieku, przeszło dwadzieścia lat nie byłem w Poznaniu. Teraz delegowano mnie z Berlina do tej cholerniej rejestracji i co za traf – pierwszy wchodzi na salę Anton Borkosky ze swoją panią Hedwig. Co tak wytrzeszczasz oczy? Nie poznajesz Willi

Fietznera? To ja was od razu poznałem.” „Ach Willi – wylewnie zrewanżował się ojciec – zmieniłeś się chłopie. Ten mundur, ordery. Wyglądasz jak Greiser. Jesteś do niego bardzo podobny.” Willi ze szczęścia prawie spadł z krzesła. Rodzice w lot zorientowali się, że ten stary znajomy delegowany do Poznania na 2-3 dni w ogóle nie zna tutejszych stosunków i pamięta ich bardzo słabo, skoro do matki mówi Hedwiga. Mama nosiła ohydne dla niemieckiego ucha imię Mieczysława.

Rodzice nic więcej nie potrzebowali mówić. Willi nużył się we wspomnieniach, żył nimi, gadał jak najęty, dlatego tyle ciepła miał w głosie. Pytał o dawnych znajomych, ale nie czekał na odpowiedź, lecz nadal galopował w przeszłość. Inni Polacy zwęszyli, że ten Niemiec nie jest groźny i za rodzicami zaczęła rosnać kolejka. Willi to zauważył i przerwał paplaninę. Złapał za formularz kenkarty. Wypisał zamasyście nazwiska Borkosky, a przy nazwisku mamy dodał imię Hedwig. Spytał o daty urodzeń, adresy. Do zgrzytu doszło przy podawaniu narodowości. Ojciec powiedział dobitnie Polak. Willi spojrzął na niego karcąco, pokręcił głową i szepnęła, aby inni Polacy nie słyszeli – „Chłopie, dlaczego Polak? Patrz, tu w ankiecie jest tyle możliwości, a ty wybierasz najgorszą. Patrz jakie ja mam wpisane narodowości.” I zaczął czytać: Kaszubi, Ślązacy, Mazurzy, Ukraińcy, Białorusini i jeszcze kilka innych. Oczywiście był to dobry chwyt propagandowy i psychologiczny. Dr Göbbels mógł oznajmić światu, że w Poznaniu jest bardzo mało Polaków. „Willi – odpowiedział ojciec – ja naprawdę jestem Polakiem i nim pozostanę, nie rób ze mnie świni.” „Jesteś Polakiem, ale przede wszystkim jesteś durkiem. Polskim durkiem. Chciałem tobie i Hedwig pomóc. Głupota polska jest przysłowiowa” – stwierdził Willi, po czym w odpowiedniej rubryce wpisał „Pole”. Dopiero na schodach spojrzeli do kenkart i stwierdzili, że nazwiska z Bartkowski zostały zmienione na Borkosky, a Mieczysława zmieniła imię na Hedwig. Nie wiedzieli co mają zrobić. Wrócić i sprostować, czy nie? W mętnej wodzie łatwiej się ukryć, niech tak zostanie – zdecydowała mama. Tak było w październiku 1939 roku.

A co się działo tej pamiętnej nocy? Niemcy jak zwykle zachowywali się bardzo głośno. Walili kolbami w drzwi, kopali i równocześnie dzwonili. Wszystko obliczone na efekt. Zastraszyć od pierwszej chwili. Sparaliżować i wykluczyć chociażby najmniejszy nawet bierny opór. Mama z determinacją, lecz wolno odsunęła zasuwę, zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. Weszli. Schupo ryczał z wprawą, nawet nie patrząc na mamę, a tylko grzebiąc w papierzyskach. „Donnerwetter! Co to jest? Mieszkanie czy forteca? Pół godziny otwieracie. Jeszcze moment, a bym je rozwalił. Nazwisko?” – krzyczał w tej samej tonacji. „Bardzo pana przepraszam – odpowiedziała mama czystą niemiecką – ale myśmy z córką spały. Trzeba było się ogarnąć. I tak jeszcze nie jesteście ubrane” – dodała z odcieniem wyrzutu. „Proszę wejść” – uprzejmie zachęcała ich jakby byli zwykłymi gośćmi, a ona panią domu lekko strofującą spóźnionych przybyszów. Zbiła ich z pantałyku swobodą wysławiania się w ich mowie i godnością osobistą. Stracili na impecie. „Nazwisko?” – powtórzył Schupo już grzeczniej, wchodząc do pokoju. „Borkosky, Hedwig Borkosky.” „No nie! Ja mam na liście familię Bartkowskich, a nie Borkosky i to Mieczysławę, a nie Hedwig. Proszę kenkartę.” Mama zaraz zorientowała się w szansie i podając kenkartę wyjaśniała, że to zupełna pomyłka. Nie tylko, że nie zgadza się nazwisko, ale i imię. „Kenkarta została wystawiona dopiero w październiku, po bardzo skrupulatnym badaniu – chyba pan w to nie wątpi – samego hauptsturmführera Fietznera z Berlina. O tu jego podpis na kenkarcie. Oczywiście chodzi o kogo innego.” Policjant zgłupiał. Spojrzął bezradnie na towarzyszącego mu hilfs polizeia, który szczerzym spojrzeniem penetrował zawartość pokoju, oceniając co tu zagarnąć przy okazji i w ogóle nie interesował się dialogiem. „Tak – przerwał wolno Schupo – ale adres domu i mieszkania się zgadza. Nas interesują mieszkania, a nie osoby. Potrzebujemy kwater dla baltendeutschów i to na dziś rano. Bartkowski czy Borkosky – wyjaśnimy później, a teraz wziąć po 10 kg bagażu i raus. Poczekacie na dole w bramie aż sprawę wyjaśnimy.” Zeszły same. Niemcy myszkowali po mieszkaniu. Byli pewni, że kobiety nie uciekną. Był silny mróz. Przed domem stał trzeci mundurowy Niemiec, ale nie było już budy (samochodu ciężarowego). Stała dalej w narożniku placu Świętokrzyskiego. Zwolna wlokły się do niej inne polskie rodziny, konwojowane przez hitlerowców. Zgarbione stały w niszy wejściowej. Nie było ratunku. Po chwili zeszli Niemcy. Schupo – widocznie nie volksdeutsch – może miał przebłysk litości, bo powiedział z wahaniem: „Borkosky oder Bartkowski? Co zrobić? Zapytam się scharführera. Wejdźcie do bramy, bo zimo. Ja zaraz wrócę, nie uciekajcie, nie macie szans. Blok obstawiony, zastrzelą was.” We trzech udali się do samochodu. Mama i Krystyna usiadły na walizeczkach i czekały. Przeszło pół godziny, przeszła godzina. Ustał warkot odjeżdżających ciężarówek, a Schupo nie wracał. Z piwnicy wyjrzała załęknioma dozorczyńca i cicho spytała czy podać kawy. Zaczęły rozmawiać. Mama prosiła, aby na zapytania Niemców o ojca i mnie powiedziała, że też zostaliśmy już uprzednio wywiezieni przez jakichś mundurowych, nieznanych jej Niemców. Czas płynął, a one siedziały w bramie. Przeszła godzina policyjna. Zaczął się ruch i zrozumiały, że Niemcy wybrnęli z biurokratycznej pułapki w ten sposób, że mieszkanie zajęli, bo adres się zgadzał, a ich nie zabrali, bo nazwiska się nie zgadzały. Pomógł „święty Biurokracy”! Zdecydowały się przyjść na ul. Długą. Byliśmy szczęśliwi! Straciliśmy mieszkanie, wszystkie meble, ale byliśmy razem. Znow razem!